

Śmiać się z innym, nie z innego

3 lutego 2025

Adam Mickiewicz pisząc w „Dziadach”, że „Miarą człowieka jest to, jak traktuje innych”, miał na myśli fakt, że stosunek do ludzi świadczy o naszej osobowości i charakterze, jest odbiciem nas samych. To, jak traktujemy ludzi, mówi więcej o nas niż o nich. Można by uzupełnić to stwierdzenie o antropologiczne ujęcie innego człowieka, tj. odmiennego od nas kulturowo i klasowo, ale także intelektualnie lub fizycznie. Inny nie musi być od nas geograficznie odległy. Dzieje społeczeństw zachodnich można opisywać nie tylko poprzez produkowanie Innego dzięki egzotyzacji i orientalizacji, ale także medykalizację, gdzie diagnoza redukuje całego człowieka do jego poszczególnych części, np. ilości chromosomów.



„Ósmy dzień” to francusko-belgijsko-angielska produkcja z 1996 roku. Była nominowana do wielu prestiżowych europejskich nagród filmowych, choć zdobyła tylko jedną: Złotą Palmę w Cannes w kategorii najlepszy aktor. Nagroda była podwójna, tj. dla odtwórców głównych ról: znanego francuskiego aktora Daniela Auteuila oraz Pascala Duquenne’a. Pomimo tych

nominacji i nagrody nie jest to film znany szerszej publiczności. A szkoda, bo jest on mądry i daje do myślenia nad sensem życia i nad tym, co w nim naprawdę ważne i od kogo można się tego nauczyć.

Film opowiada o spotkaniu dwóch osób z różnych światów. Pierwszy z bohaterów to Harry (grany przez Auteuila), pracownik banku szkolący innych w kreowaniu pozytywnego wizerunku, zdobywaniu zaufania klientów i wpływaniu na ich konsumenckie decyzje. Pierwsze sceny filmu pokazują fragment takiego szkolenia: uśmiechaj się, bądź pozytywny, sprawiaj wrażenie człowieka sukcesu, bo ludzie nie lubią mieć do czynienia z przegrywami, przejmuj cudze zachowania i gesty, bo wtedy klient rozpoznaje w tobie siebie i podświadomie jest bardziej ufny. Harry jest w tym dobry. Próbuje nawet przekonać samego siebie, że te narzędzia, czy po prostu sztuczki, mogą działać także poza branżą, widzimy bowiem, jak uśmiecha się sztucznie do lustra, jak ćwiczy wizerunek człowieka sukcesu, którym nie jest. Jest bowiem człowiekiem głęboko nieszczęśliwym, co widać najlepiej w momencie powrotu do opuszczonego przez żonę i dzieci domu: Harry podnosi pistolet-zabawkę, przystawia sobie do skroni i naciska spust. Początkowe sceny mówią jasno: bez miłości do ludzi, w różnych jej wymiarach czy też wtedy, kiedy tę miłość z różnych względów tracimy, jesteśmy żywymi trupami, bo życie przestaje mieć sens i nic nie jest w stanie nas reanimować. Oddanie się bzdurnej pracy sprawia tylko, że każdy dzień jest podobny do poprzedniego – żyje on w Piekło Tego Samego.

Drugim bohaterem jest George, młody mężczyzna z zespołem Downa (w tej roli Duquenne, faktycznie ten zespół posiadający), który ucieka z ośrodka dla osób upośledzonych intelektualnie w poszukiwaniu swojej mamy. Nie wie jednak, że ta nie żyje, siostra zaś, jedyna bliska mu osoba, nie może się nim zająć, bo ma swoje życie i męża, który nie chce w nim George'a.

Obaj mężczyźni spotykają się w tragicznych okolicznościach, albowiem jadący odwiedzić swoje dzieci Harry potrąca w czasie

wieczornej ulewy psa George'a. Nad zawiniętym w koc martwym ciałem zwierzęcia płaczący George nieudolnie intonuje „Alelula”, lecz nie forma jest tutaj istotna, ale stojące za nią emocjonalne zaangażowanie, a także chęć wypełnienia sobą, przeżycia odtwarzanego rytuału, jawiącego się jako coś naturalnego. To Harry patrzy zdziwiony i oniemiały na George'a.

Od tego momentu całość przybiera konwencję filmu drogi, albowiem sprawca wypadku czuje się w obowiązku odwiedzić poszkodowanego do domu. To wymuszone spotkanie, obecność George'a w życiu Harry'ego, której on wcale nie chce, czasami nawet wręcz maskując jego chorobę (zakłada mu czarne okulary, by ukryć zdradzający go wygląd), odmienia życie tego pierwszego: reanimuje go, przywraca do życia. Zderzenie z radykalnie odmiennym światem George'a uświadamia mu, jak wiele traci z tego, co ważne w życiu, jak bardzo obudował swoje Ja i swoje życie, kaleczącymi jego i jego bliskich konwencjami i wyobrażeniami o szczęściu, miłości, dobrym życiu.

Świat George'a jest światem wrażliwości, wzruszeń, uczuć i sentymentu do ludzi i natury (od trawy i drzew po biedronki), co pozwala mu przeżywać świat na innych zasadach: bardziej zmysłowych i spontanicznych, nie ograniczanych konwencjami. George jest emocją, a nie Rozumem, co sprawia, że ponosi nieustannie raniące go porażki polegające na odtrąceniu. Świat George'a jest zaczarowany, nie ma w nim tak istotnych dla nas podziałów, jak np. na fikcję i realność. Świetnie to widać w kampowych scenach filmu (choć ktoś mógłby potraktować je jako kiczowate), pokazujące coś niezwykle istotnego: George ma kontakt ze światem, choć jest to świat jego wyobrażeń – przynajmniej z racjonalnego punktu widzenia. To dla niego śpiewają w radio, jego ulubiony piosenkarz osobiście wręcz się z nim komunikuje. Ma także kontakt ze zmarłą mamą (gra ją znana francuska aktorka Isabelle Sadoyan znana polskiemu widzowi z filmu „Trzy kolory: niebieski” Krzysztofa Kieślowskiego), która się nim opiekuje i w trudnych chwilach

tłumaczy mu świat, którego nie rozumie. To dla niego śpiewa piosenkarz „Mamo, dla mnie jesteś najpiękniejsza na świecie”, którą George wykonuje „po swojemu”.

Wedle mitologii filmu, nawiązującej do stwarzania świata przez Boga w siedem dni, George został stworzony ósmego, nieistniejącego przecież dnia. Jest zatem cudem, posłańcem niebios. Zapewne ktoś pozbawiony poetycko-filmowej wyobraźni mógłby zżymać się na mityzację zespołu Downa, postrzeganiu jej przez inny pryzmat niż medyczny. W czasach przednowoczesnych tak właśnie myślano i postrzegano. To okres nowoczesny przyniósł, w postaci racjonalności i postępu technologicznego, nadzorowanie i karanie, stygmatyzację innych, którzy często przypłacali to wykluczeniem społecznym i fizycznym, tj. w murach szpitali i osobnych szkół, samotnością, a nierzadko śmiercią. Nawet dzisiaj nie są mile widziani w „postępowych” krajach Zachodu (np. na Islandii). „Zespół higienisty”, by nawiązać do tytułu książki Macieja Zaremby Bielańskiego, to jest dopiero choroba. Nie chodzi o tanie romantyzowanie zespołu Downa (pamiętajmy też, że ten film to nie dokument), przydawania tym osobom więcej niż mają, bo mają chyba wystarczająco dużo, aby zdrowi mogli się czegoś od nich nauczyć.

Harry, w toku filmu, coraz lepszemu poznawaniu George’a, daje mu siebie, ofiarując i odwzajemniając wiele bliskości, ciepła i wsparcia ze strony tego drugiego, który nie tyle pomaga pierwszemu rozwiązać życiowe problemy, ale jest ich współtowarzyszem. Bohaterowie razem płaczą i razem się śmieją, czyli robią to, co specyficznie ludzkie. Niektóre sceny swoim humorem potrafią wręcz rozbroić stereotypy, jak np. wygląd osoby z zespołem Downa. Na początku znajomości, Harry, poirytowany zachowaniem George’a, nazywa go „Mongołem” (wiadomo, że chodzi o mongoloidalne rysy twarzy). Widzimy kadr, w którym George ubrany w ludowy strój przemierza step, jednocześnie zanosi się śmiechem i powtarza „Ja? Mongoł?” i śmieje się coraz głośniejszym głosem. Myśli konkretem, nie abstrakcją. Ma

rację: przecież nie jest Mongołem.

Choć bohaterowie są ludźmi z innych światów, to te światy potrafią się spotkać, co okazuje się darem dla jednego i drugiego. To, co możemy naprawdę ofiarować innemu człowiekowi, także innemu, to my sami, nasze człowieczeństwo. Inny także nigdy go nie traci, choć czasami może się wydawać inaczej, gdyż fetyszyzujemy odpowiednie kompetencje, tj. intelektualne (one są dobre w nauce, ale nie należy ich przeceniać w życiu).

Jak zauważa Anna Dwojnych, autorka tekstu „Zespół Downa i popkultura”, pierwszą telewizyjną próbą oswojenia widzów z obecnością osób z zespołem Downa był amerykański serial „Dzień za dniem”. Produkowany w latach 1989-1993 był oglądany także w Polsce i zyskał dużą popularność (pewnie wiele osób kojarzy ten serial z piosenką „Ob-La-Di, Ob-La-Da”). Był to pierwszy serial, którego bohaterem był chłopiec z zespołem Downa, ukazujący trudy w zaadaptowaniu się do środowiska szkoły i rówieśników, a nawet rodziny, gdyż jego siostra Becca musiała się nauczyć akceptować intelektualnie niepełnosprawnego brata, gdyż jego upośledzenie było wstydlive. O popularności tego serialu niech świadczy niechlubny fakt, że w latach 1990. zaczęto określać osoby z tym zespołem mianem „Korków”, albowiem tak do Charlesa Thatchera zwracają się bliscy („Corky”).

Jeśli chodzi o polskie seriale, to z pewnością na uwagę zasługuje „Klan” i postać Macieja Lubicza, granego przez Piotra Swenda. Bardzo ciekawie analizuje jego postać Anna Dwojnych, wskazując na swoistą ambiwalencję serialowego wizerunku oraz jego odbioru. Z jednej strony, na zasadzie product placement, lokując w serialu odpowiednie idee, takie jak akceptacja osób intelektualnie niepełnosprawnych, pokazywano różne życiowe perypetie Maćka. Scenarzyści przedstawiają go jako typowego nastolatka, który przeżywa te same co oni historie, np. zakochanie się w Martynie (także z zespołem Downa) czy pierwsze spożycie alkoholu. Jednak sposób, w jaki to robią, nie zawsze wydaje się fortunny, co sprawia,

że pewne sytuacje są wykorzystywane do internetowych przeróbek i parodii (choć pojawiają się oczywiście pytania, czy w ogóle da się tego uniknąć), co sprawia, że ogląda się jego postać nie ze względów zamierzonych, tj. edukacyjnych, ale „dla beki”. Słowem, przedstawiając osoby z zespołem Downa można uzyskać efekt odwrotny do zamierzonego, z tego względu trzeba umieć to robić, co wcale nie jest takie proste. Ponadto, zdaniem grających z nim aktorów, Piotr Swend nie do końca rozpoznawał granice pomiędzy fikcją serialu a rzeczywistością, co każe także pytać o etyczną stronę zatrudniania aktorów niepełnosprawnych intelektualnie.

Żadna z tych kwestii nie przedstawia się tutaj bezproblemowo. Niezależnie jednak od tego faktu, wspomniane seriale, szczególnie ten pierwszy, jeśli poczytać komentarze jego dotyczące, przyniosły wiele dobrego, gdyż jakaś część naszej społecznej rzeczywistości przestała być ukrywana: zaczęliśmy oswajać to, co do tej pory było inne, starać się lepiej poznać i zrozumieć to, co nam obce, a zatem często wstydlive i ukrywane.

Jedną z ważniejszych produkcji telewizyjnych w tym zakresie był program „Down the Road”. Podróżnik Przemysław Kossakowski wyrusza wraz z sześcioma osobami z zespołem Downa w podróż po Europie. To młodzi dorośli, całkiem nieźle radzący sobie w rzeczywistości, o czym świadczą ich kompetencje językowe i komunikacyjne, ale także poznawcze, gdyż bardzo dobrze orientują się w rzeczywistości. Warto podkreślić, że zostały wybrane do programu drogą castingu. To o tyle istotne, że nie wszystkie osoby z zespołem Downa posiadają tak wysokie kompetencje, co jest wynikiem różnych społecznych uwarunkowań rodziców oraz innych okoliczności. Oglądając ten program byłem pod dużym wrażeniem, jak osoby te znakomicie sobie radzą.

Twórcy programu podkreślają, że ich celem było zrobienie takiego programu rozrywkowego, w którym śmieją się razem z bohaterami, a nie z nich. Chcieli pokazać, i uważam to za próbę udaną, że osoby z zespołem Downa mogą być samodzielne i

nie wymagać jakiejś przesadnej opieki w codziennym życiu. Że pomimo poznawczych ograniczeń nie są od nas aż tak odmienni, jak można by sądzić: mają swoje pasje, namiętności, chcą podróżować, cieszyć się życiem, próbować różnych rzeczy, dbać o siebie w sensie fizycznym, ładnie wyglądać, zakochują się, chcą uprawiać seks, założyć rodzinę, bywają także jak my: próżni, narcystyczni, leniwi, konsumpcyjni. Z drugiej strony twórcy programu nie przekonują nas, że oni są tacy jak my, bo są inni i to jest oczywiste, ale ta ich inność, przy odpowiedniej pracy edukacyjnej, nie jest jakimś kosmicznym biegunem. Jedna z twórczyń programu mówi nawet o tym, że początkowym zamiarem programu, mniej lub bardziej jawnym dla samych twórców, było dopasowanie uczestników do społeczeństwa, ale w toku programu, spędzania z uczestnikami czasu, porzuciła ten pomysł, uznając po prostu inność innego, tym samym też jego podmiotową autonomię. Szczerze mówi o tym, że nie czuje się uprawniona do tłumaczenia tym osobom świata, szczególnie, że rozumieją go po swojemu (jej opis dotyczy kwestii wiary i rozmowy z jednym wierzącym uczestnikiem).

Brakuje na polskim polu medialnym takich filmów, seriali i programów telewizyjnych, co wynika m.in. z faktu, że – z jednej strony – media służą głównie zarabianiu pieniędzy, są nastawione na zysk kosztem ludzi i istotnych problemów społecznych, z drugiej zaś są propagandową tubą ukrywającą swoją ideologiczność (neoliberalizm, konsumpcjonizm, określony styl życia, opcję polityczną) pod płaszczykiem rozrywki. Czekam na programy przywracające godność odmiennym kategoriom innych, których media nieustannie stygmatyzują, wyśmiewają, upokarzają i orientalizują, przedstawiając jako różnych od nas „dzikich”, jako obiekty koniecznej modernizacji i dostosowania do odpowiednich, rzecz jasna z góry i nie przez nich, wyznaczonych stylów życia. Idea towarzysząca tworzeniu takich programów telewizyjnych powinna uwzględniać budowanie wspólnoty pomimo ludzkiej odmienności i różnorodności, gdyż ta nie tylko istnieje i jest rzeczywistością, ale wcale nie jest przekleństwem, lecz bogactwem. Tylko prawdziwa akceptacja

innego pozwala budować wspólnotę, ale i chyba sensowniej przeżywać swoje życie.

Poszerzenie wyobraźni moralnej własnego społeczeństwa to obowiązek tych, których Richard Rorty określił mianem agents of love, czyli antropologów, powieściopisarzy i dziennikarzy. Ludzie mediów mają do odegrania w tym zakresie swoją rolę, lecz aby to uczynić, muszą przestać służyć kapitałowi – i zacząć służyć ludziom.

Autorstwo: dr Michał Rydlewski

Zdjęcie: [SP3CialStock](#) (CC0)

Źródło: [NowyObywatel.pl](#)